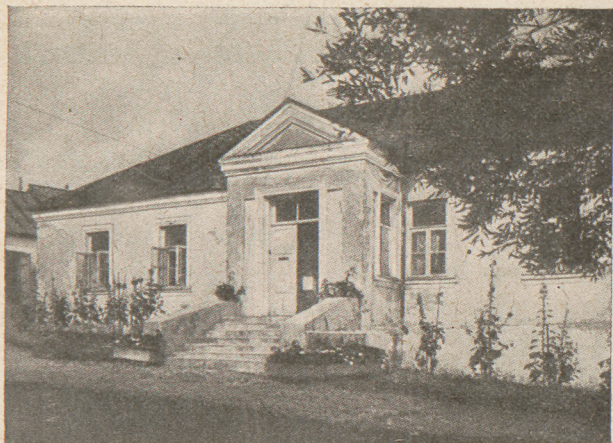


UROCZYSTOŚCI MICKIEWICZOWSKIE W NOWOGRÓDKU



DWOREK MICKIEWICZOWSKI

Fot. H. Poddebski



HALE I STAROSTWO (B. PAŁAC RADZIWIŁŁOWSKI)

Fot. J. Bułhak

W roku bieżącym przypada stulecie ukazania się po raz pierwszy w druku poematów Adama Mickiewicza, zrodzonych z ukochania rodzinnej Ziemi Nowogródzkiej.

Spowodowało to zawiązanie się w Nowogródku pod przewodnictwem wojewody Beczkowicza komitetu, mającego na celu

ułatwienie rodakom zwiedzenia miejsc, w których Wieszczył spędzał młode lata.

Przeznaczono cały miesiąc czerwiec na uroczystości Mickiewiczowskie w Nowogródku i okolicy. Obejmują one: ukończenie sypania kopca Mickiewicza przez przyjezdnych ze wszystkich stron Polski; zwiedzenie domku, należącego niegdyś do

rodziców poety i przeznaczonego na założenie w nim Muzeum Mickiewiczowskiego; urządzenie wystawy Mickiewiczowskiej, mającej zapoczątkować to muzeum; wreszcie wycieczki do miejscowości, związanych z życiem i twórczością Adama, a przede wszystkim do Tuchanowicz, jeziora Świtez i t. p.

Jest niemiło, chociaż o lęku niema mowy, taką się odczuwa pewność na pokładzie aparatu, ale...

Pilot nasz prowadzi aparat niezmordowanie naprzód. Przebijamy się?... Przed nami, z prawej strony, robi się coraz to ciemniej. Aparat buja się i zaczyna stawać jakgdyby igraszką wichury; tem gorzej, że nie dmie nieprzerwanie, ale podmuchami. Zaczyna do tego ciąć kaszka śniegowa. Mróz, wichura... i oto aparat ulega woli wiatru—pilot rozsądnie ustępuje.

Zawracamy. Drugi raz!

Przed chwilą mówił nam telegrafista, że zapewne zanocujemy w Klagenfurcie, a tymczasem... Psiakrew.

Mamy znów zdecydowanie kierunek na południe. Jak się z wiatrem leci prędko! Ani się spodzieliliśmy, jak skały zaczynają ustępować coraz to mniejszym wzniesieniom, i już zaczynają się pagórki. W dali, przed nami, ściele się zieleń równiny...

Zbliżamy się ku Belluno, gdy nagle, o radości, nasz ptak, zaklęty siłą człowieka, zatacza łuk i — płynie ku północy. Pilot nie dał za wygraną. — Probuje po raz trzeci. Szlak mamy ten sam, co poprzednio. Mijamy te same bezdroża i płynąc „zatrzymujemy się” nad doliną za pasmem Alp Karnijskich.

Jak to jest wszystko nisko i daleko pod nami! Poprzez strzępy, chmur widzimy pasmo wody w dole; wszystko tam jest w śniegu. Ptak nasz w tej chwili zaczyna się ze swej wysokości serpentyną, dookoła swej osi, opuszczać. Zachodzimy w głowę, co to może być?

Spadamy w dół w wielkich łukach. To jest całkiem wyraźne. Igła wysokomierza, która wskazywała 4200 m, raptownie znaczy kierunek ku dołowi, aż staje nieruchomo na 110 m. Bierzemy na tej wysokości pełny kurs na wschód. Tempo wydaje się ogromne, bo mamy porównanie z bliską ziemią, która ucieka co sił w przeciwną stronę. Lecimy doliną popod najniższą warstwę chmur, w mroku. Widać każdy domek, szałas, zagrodę, wiejski kościółek. Widać pomarszczenie wody pod wiatrem. Dookoła mgła i brudne strzępy chmur. Śnieg zaczyna posypywać.

Pędzimy jak potwór o trzech paszczach ognistych. Mijamy osady i pustkowia. Dolina opada, rozszerza się, śnieg niknie, zastępuje go szara ziemia. Nagle się przed nami przestrzeń otwiera i mijamy miasto Villach.

Dopiero Villach. A taki szmat drogi przed nami. Aparat drga i pędzi, jak przeznaczenie... Teraz zrywa się w górę. Zmienia drogę, skręca bardziej ku północy. Stery dźwigają nas w górę. Przebijamy się przez kozuch mgieł i za chwilę jesteśmy w słońcu po przepłynięciu mleka obłoków. Pod sobą mamy morze z baranków wełnistych, z których gdzieś wystaje jakiś wyższy pagórek. W dali, bokiem od nas, bieleją lodowe Alpy.



W dole Graz. Dał znać radjem, że nas czeka. Łączymy się z lotniskiem Wiednia, które odpowiada, że do wpół do ósmej nas przyjmie. Zostaje trzy kwadransy, a przecież tę przestrzeń przebywa się normalnie samolotem w pięć kwadransów. Wiemy, co to znaczy: trzeba będzie nocować w Grazu. Słońce się chowa. Na ziemię opada welon mroku, ale my jeszcze chwilę długą jaśniejemy w górze, jak ptak srebrnopióry.

Maszyna idzie na pełny bieg, na 220 km na godzinę.

Tam, pod nami, zostało Graz. Mijamy osady, wieś, potem Wiener Neustadt, i oto Wiedeń. Aparat pędzi, jak szalony. W mroku z rur wybuchowych wszystkich trzech motorów zieje ogniem, a silniki pracują jak apokaliptyczne bestje...

Wiedeńskie lotnisko w Aspern jest oświetlone na nasze przyjęcie. Zataczamy łuk i siadamy najdokładniej na skrzyżowaniu światła dwu reflektorów. Lekko dojeżdżamy pod port lotniczy. Wsiadamy po czterech cudnych godzinach lotu.

W godzinę niespełna siedziałem przy stoliku w Grand Hotelu, w atmosferze tak różnej od świeżo przebytych wrażeń... Następnego dnia startowałem rano i o 3 pop. byłem w Warszawie, lotem gładkim, bez wrażeń, codziennym.

Twórczej myśli ludzkiej, jej wysiłkom, które skróciły przestrzeń dróg i czasu, pilotom, podniebnym orłom — cześć!

Jan Rostański